

ROZMOWA Z PROF. DR. IANEM WĄSICKIM

W ogólnonarodowej dyskusji wywołanej wydarzeniami marcowymi wiele uwagi poświęca się problemom wyższych uczelni, szczególnie ich pracy dydaktyczno-wychowawczej. Na temat tych właśnie spraw „Głos” rozmawia z posłem na Sejm PRL, prof. dr. Ianem Wąsickim z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

— Co Pan Profesor sądzi o krytycznych uwagach, jakie wypowiedziano ostatnio o ustawie o szkolnictwie wyższym z 1958 roku, znoszącej później w roku 1965?

— Trzeba przyznać, że ustawa o szkolnictwie wyższym nie jest pozbawiona takich rozwiązań, które w praktyce nie zdają egzaminu. Np. obowiązująca zasada, w myśl której pracownika naukowego bez jego zgody nie można przenieść z jednej uczelni na inną, stanowi poważny hamulec w rotacji kadr. Ponadto powoduje zbyt duże dysproporcje w rozwoju poszczególnych ośrodków naukowych, a nawet monopolizację niektórych gałęzi wiedzy (np. nauki społeczne to niemal wyłącznie domena Uniwersytetu Warszawskiego).

Nie sprawdziło się również w praktyce rozwiązanie dotyczące unowocześnienia struktury organizacyjnej szkół wyższych. Sprawy te pozostawiono wyłącznie inicjatywie oddolnej — samej uczelni. W rezultacie dyktowane wymaganiami życia

zmiany w strukturze uczelni nie nastąpiły. Jeden z nielicznych wyjątków stanowi Politechnika Wrocławska. Istniejący system — sztywny podział na wydziały i katedry — nie tylko sprzyja powstawaniu form zależności podwładnych od przełożonych na model starych feudalnych, ale również zbytniemu zawężaniu specjalizacji i rozdrabnianiu badań. Panaceum na tego rodzaju zjawiska stanowią mogące większe zespoły, grupujące więcej pracowników samodzielnych i pomocniczych. W tym kierunku winna właśnie zmierzać reforma struktury wyższych uczelni, przy czym sprawy te — moim zdaniem — należałoby uregulować na „szczeblu” centralnym. Choćby dlatego, że zarządzanie nauką wchodzi w zakres kompetencji kilku resortów i komitetów.

„Idąc dalej tym tokiem rozumowania, trzeba stwierdzić, że zmiana ustawy o szkołach wyższych (zostało to zapowiedziane) nie jest przedsięwzięciem wystarczającym. Istnieje pilna konieczność zreformowania organizacji całej nauki począwszy od uczelni, a skończywszy na Ministerstwie Oświaty i Szkolnictwa Wyższego oraz Komitecie Nauki i Techniki. Chodzi przy tym między innymi o określenie jednego ośrodka koordynującego.

Wady ustawy, o których wspominałem, nie mogą przesłaniać nieprawidłowości występujących w praktyce dnia codziennego. Nieprawidłowości te wynikają zarówno z przyczyn obiektywnych jak i subiektywnych (np. z nieudolności organizatorskiej, konserwatyzmu, partykularyzmu). O tym wszystkim trzeba pamiętać, zwłaszcza wtedy, kiedy mówi się o zachwianiu proporcji między pracą naukową a dydaktyczną i wychowawczą.

— Nie od rzeczy będzie chyba dodać, że w tej ostatniej dziedzinie zadania wyższej uczelni są

niejednokrotnie bardzo trudne ze względu na potrzebę odrabiania zaległości czy to szkoły czy też domu.

— Tak. 18-latek rozpoczynający studia zwykle nie jest człowiekiem o skrytykowanej osobowości. Co gorsza zdarza się, że dotychczasowy proces nad kształtowaniem tej osobowości przebiegał nieprawidłowo. Istnieje więc potrzeba, by wyższa uczelnia prowadziła działalność dydaktyczno-wychowawczą w sposób konsekwentny i systematyczny. Nie pomija tego zagadnienia ustawa, która stwierdza, że obowiązkiem uczelni jest aktywne uczestnictwo w budowie socjalizmu w Polsce przez kształcenie i wychowywanie kadr inteligencji zawodowej. Niestety, wbrew temu postanowieniu praktyka wyraźnie preferuje pracę naukową.

Ranga pracownika naukowego wyższej uczelni zależy przede wszystkim (właściwie można by powiedzieć: „zalety wyłącznie”) od jego dorobku badawczego, liczby opublikowanych prac. Według tych kryte-

Przywróćmy treść pojęciu nauczyciel akademicki

riów oceniają nauczyciela akademickiego jego koledy i przełożeni. Ba, nawet ministerstwo w praktyce zajmuje identyczne stanowisko. Z reguły ani władze uczelni ani też ministerstwo przy awansach nie biorą pod uwagę prowadzonej przez danego pracownika nauki działalności wychowawczej. Inny przykład: w ubiegłym roku zniesione zostały przyznawane do tej pory, zresztą niewielkie, nagrody pieniężne dla wyróżniających się opiekunów grup studenckich za ich pracę wychowawczą. I to również świadczy o tym na jakim marginesie praca ta została zepchnięta.

Niektórzy usiłują tego rodzaju przedsięwzięcia uzasadnić w ten sposób: praca wychowawcza w przeciwieństwie do dydaktycznej, a w szczególności do naukowej, jest niewymierna. Powiedziałbym, że jest trudno wymierna, ale fakt ten nie może usprawiedliwiać niedoceniania działalności wychowawczej, co znajduje najbardziej jaskrawy wyraz w niedostatecznym przygotowywaniu asystentów do pracy pedagogicznej.

Trzeba dodać, że na niedomaganie procesu wychowawczego niejednokrotnie wywierają wpływ również takie zjawiska, jak niedostateczna liczba nauczycieli akademickich w porównaniu do liczby studentów, a nadto nie w pełni dostosowana do potrzeb nowoczesnych procesów dydaktycznych baza materialna szkół wyższych.

— Wspomniał Pan Profesor o niedostatecznym przygotowywaniu asystentów do pracy pedagogicznej. Jest to chyba wycinek problemu: wyższe uczelnie a prakty-

Głos tygodnia

ODDATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 339 28 IV 1968 Rok VIII

ka. Może kilka słów na ten właśnie temat...

— Intencją ustawy o szkolnictwie wyższym było zacieśnienie współpracy z praktyką i to zarówno w dziedzinie badań naukowych, jak również w zakresie dydaktyki. Oczywiście chodziło o to, by praca badawcza uczelni nie była przede wszystkim wynikiem osobistych zainteresowań danego kierownika katedry lub przypadkowych zleceń ze strony jednostek gospodarki uspołecznionej, lecz rezultatem ogólnego postępu nauki i potrzeb naszej rzeczywistości. Formalne podstawy do podejmowania tego rodzaju działalności zostały stworzone, ale realizacja nie przedstawia się najlepiej.

Wyższe uczelnie nie zawsze chętnie otwierają swoje bramy dla ludzi praktyki. Ich udział w pracy naukowej, nie mówiąc już o dydaktycznej i wychowawczej, jest więc ogólnie rzecz biorąc minimalny. Z drugiej strony — młodzi pracownicy nauki mają zbyt duże powiązania z praktyką. Niektóre kierunki szkolnictwa wyższego kontaktów takich pozbawione są całkowicie. Wszystko to stwarzało i nadal stwarza niebezpieczeństwo izolacji uczelni od życia, oczywiście szkodliwe dla działalności dydaktyczno-wychowawczej.

— Jak należałoby temu przeciwdziałać?

— Byłoby pożądane, aby pracownicy nauki mogli odbywać określony czasowo staż pracy pedagogicznej w instytutach lub staż praktyczny w zakładach — zapewniający możliwość działania w większych zespołach. Z tych samych przyczyn pracownikom wyższych uczelni powinno stworzyć się możliwości odbywania stażów w instytutach Polskiej Akademii Nauk i instytutach resortowych, szczególnie w okresie przygotowywania prac doktorskich i habilitacyjnych. Jest to ważne obecnie, kiedy rosnąca liczba studiujących angażuje w coraz większym stopniu kadrę pracowników nauki. Nie zawsze mogą oni w wyznaczonym okresie ukończyć swoje prace naukowe. Trzeba przeto stworzyć im warunki umożliwiające pełne zaangażowanie w działalność dydaktyczną - wychowawczą, obecnie hamowane obawą o losy kariery naukowej.

Rozmawiał: MICHAŁ ŁUCZAK

*) Obowiązuje zasada, że z wnioskiem o zmianę struktury występują do resortu organy samorządowe zainteresowanej uczelni.

Wiesława Łaskowska, Jerzy Sokołowski

HISTORIĘ PISZEMY STAŁĄ I BETONEM

Płock, Lubin, Mogiła, Police, Solina...

Nazwy, które przez setki lat były po prostu punktami na mapie naszego kraju. Miasteczka i wsie, w których życie toczyło się leniwym nurtem z dnia na dzień. W których dzień dzisiejszy był odbiciem wczoraj i ustępował miejsca takiemu samemu jutru.

Dziś, kiedy mówimy Płock, myślimy — petrochemia. Lubin kojarzy się z miedzią. Nowej Hucie, wyrosłej na terenie krakowskiej wsi Mogiła, sławę przyniosła stal. Policom wyznacza awans budowa wielkiego kombinatu nawozowego, a zagubionej w Bieszczadach Solinie — gigantyczna zapora wodna.

Niegdyśniejszym miejscowościom z nazwy nową historię pisze wielki przemysł. Stała i betonem. Pracą rąk polskiego robotnika. Wydaje im nowe dowody osobiste, a w rubryce „znaki szczególne” wpisuje słowa, których nie zmieni już żaden czas:

Stal i żelazo...

Huta im. Lenina — serce polskiej metalurgii. Jeszcze przed 20 laty rozciągały się tu chłopskie polećka małego podkrakowskiego wsi Mogiła. Nazwa Nowa Huta pojawiła się po raz pierwszy na mapie kraju pod czas obrad zjazdu zjednoczeniowego polskiego ruchu robotniczego w 1948 roku. Dziś jest to tętniący życiem ponad 100-tysięczny ośrodek przemysłowy, którego roczna produkcja stała jest kilkakrotnie wyższa od przed wojennej produkcji całego przemysłu hutniczego.

Huta im. Lenina jest żywym symbolem braterstwa i przyjaźni łączącej nasz naród z narodem Związku Radzieckiego. To dzięki radzieckim specjalistom i radzieckim dostawom wzniesiono pierwsze wielkie piece i walcownie oparte na dokumentacji przygotowanej w Kraju Rad. Dzięki radzieckim dostawom rudy z roku na rok pieła się krzywa wykresów produkcji stali, wyrobów walcowanych, całej „galanterii” hutniczej. Kredyty, dostawy sprzętu i urządzeń, surowca — umożliwiły rozbudowę obiektu, rozwój poszczególnych zakładów.

Miliardowe inwestycje opłaciły się sowicie. Dziś kraj nasz zajmuje 8 miejsce w świecie pod względem wielkości produkowanej stali. Po raz pierwszy też w historii przekroczyliśmy barierę 10 milionów ton stali rocznej produkcji.

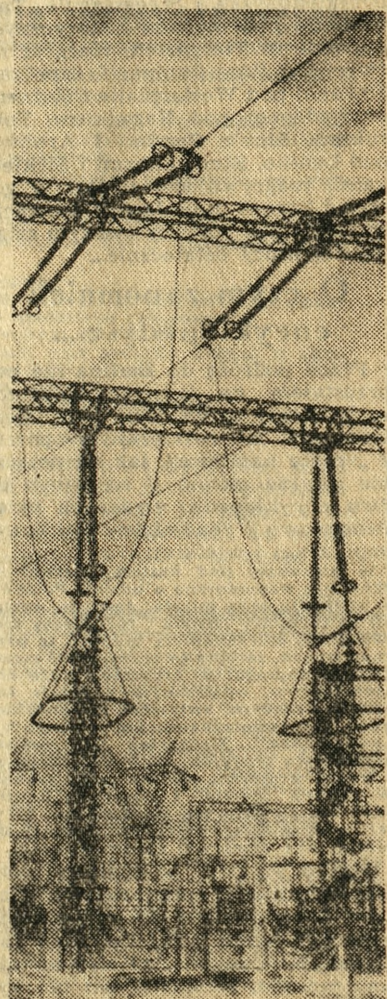
Nie jest to jednak koniec pisanej żelazem i cementem najnowszej historii nowohuckiego giganta. Rozruch nowego potężnego obiektu przez myślowego kombinatu — walcowni-slabingu — otworzy trzeci etap jego rozwoju. Meta jest 5,5 mln ton stali rocznej produkcji...

Miedziowe zagłębie...

11 potężnych szybów prowadzi do podziemnego królestwa miedzi w głogowsko-lubińskim zagłębiu. Trzeci co do wielkości po węglu i siarce od

kryty przed kilkunastu laty skarb surowcowy stawia nas w światowej czołówce potentatów miedzi. Ale przecież nie w zasobach i złożach na szala. O miejsu Polski w światowej gospodarce tym cennym surowcem zadecydują inwestycje umożliwiające eksploatację złóż.

Toteż w podziemiach zagłębia nie ustaje praca. W ciągu kilku miesięcy br. górnicy przekopali prawie 2,5 tysiąca m biezących chodników podziemnych, oddali do eksploatacji



Polska Ludowa stworzyła nowy krajobraz Wielkopolski. Pajęczyna instalacji elektrycznej dla wielkiej mocy, rozciąga się nad całym nowym zagłębiem węglowo-energetycznym Konina i Turka. Za kilka lat nowe wielkopolskie odkrytki węgla brunatnego zasilać będą generatory Adamowa, Gostawic i Patnowa, których łączna moc wyniesie 2500 megawatów. Już dziś energia ta zasila Hute Aluminium w Malinowie koło Konina. Nie byłoby jej, gdyby nie inwestycyjny wysiłek naszej gospodarki, nas wszystkich.

Fot. — K. Przychodźki

pierwszą część zakładu przeróbki mechanicznej rudy, z której uzyskano już 4 tysiące ton wysokopropenowego koncentratu rudy miedzi. Jeszcze w tym roku nowe zagłębie zapewni eksploatację blisko miliona ton rudy.

Miedziowe inwestycje pochłonią ponad 30 miliardów złotych. Sowicie się opłaci ten wysiłek. Obok cennego surowca przysporzy krajowi nowego wielkiego zagłębia przemysłowego, którego przyszłość spoczywać będzie w rękach jego młodych budowniczych. Już dziś nazwy Lubin i Polkowice kojarzą się z wielką miedzią...

Wielka chemia i... morze...

Niespełna ćwierć wieku temu straszyle tu upiorne „Hydriewerke Politz AG” zaopatrujące hitlerowską maszynę zniszczenia w syntetyczne paliwo. Dziś startuje tu nowy champion chemiczny, wielki kombinat nawozów fosforowych „skomasowanych” z potasem i azotem.

13 fabryk budowanych nad Odrą produkować będzie obok nawozów fosforowych biel tytanową, kwas amidosulfanowy, siarczany żelaza, amoniaku itp. Koszt budowy tego wielkiego kombinatu wyniesie ponad 6 miliardów złotych.

Nowy kombinat przemysłowy naszej chemii ulokowany został w pobliżu morza i morze mu sprzyja. Tędy docierać będą cenne surowce z Maroka, Jugosławii, Związku Radzieckiego i Finlandii. Drogą wodną wyjeżdżać będą z kombinatu gotowe produkty docierające Odrą, Wisłą i Wartą do kraju i w szeroki świat.

Już wkrótce na mapie obiektów gospodarczych Polski pojawi się no-

Piotr Życki

Ruch w interesie albo czyj interes w „Ruchu”

Było kiedyś sporo wesołości wokół przydania „Ruchowi” małego wtycznego brzmienia określenia PUPiK*). W miarę upływu czasu, w miarę, jak przedsiębiorstwo to poczęło gazetowe kioski przekształcać w uliczne kramy — ochota do śmiechu odchodziła. Kolejne zaś posunięcia kierownictwa PUPiK, zmierzające do faktycznego zmniejszenia rozdziału gazet i czasopism w kraju, ukształtowały wśród ludzi przekonanie, iż ma się do czytania z machiną potężną, nie podlegającą zasadniczej krytyce.

Z biegiem czasu „Ruch” rozrósł się niebywale. Powstało biuro wydawnicze: wytwórnia zabawek: przedsiębiorstwo filatelistyczne; przedsiębiorstwo handlu artykułami „ocza-prasowymi”; coś w rodzaju zarządu klubów, organizowanych w terenie: tylko kolportażowa — podstawowa

* Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki.

najistotniejsze znaczenie ma kolportażowa działalność „Ruchu”. I o niej — zdań parę. Przede wszystkim: czy w ciągu wielu lat istnienia „Ruchu” mamy do odnotowania w tym dziale pracy PUPiK jakieś zmiany? Oczywiście. Dzięki wysiłkowi ludzi z ekspedycji, rozdzielni i sprzedawców — rozprzodza się więcej gazet, tygodników i periodyków, więcej jest także kiosków. Na minimalnym poziomie kształtują się zwroty prasy, kolportowanej przez „Ruch”. Ale są to zmiany ilościowe. A zmiany jakościowe?

Zmian jakościowych, polegających na stałym ulepszaniu form kolportażu, nie ma. Zwrotowe osiągnięcia trudno zaliczyć w poczet zasług „Ruchu”, są one przede wszystkim wynikiem stałego nienadążania wzrostu nakładów pism za szybko rosnącym na nie pływem. Rzecz zatem w tym, czy używany przez „Ruch” postęp w kolportażu jest dostatecznie szybki i wszechstronny. Czy nie należy dokonać organizacyjnych, strukturalnych zmian w PUPiK, na przykład na zasadzie eksperymentu w którymś z województw, dla znalezienia lepszych, efektywniejszych form działalności kolportażowej.

Minęło XIII Plenum KC partii, gdzie mowa była o znaczeniu informacji i przeciwdziałaniu propagandzie wroga; było potem VIII Plenum, w toku którego na te same sprawy kładziono wielki nacisk; w redak-

cjach w działach wydawniczych przedsiębiorstw prasowych i drukarniach RSW „Prasa” — wielu ludzi robi co może, by zrealizować dyrektywy partii, wyjąć naprzeciw zamówieniom społeczeństwu. Jest bowiem zapotrzebowanie na szeroką i szybką informację nie od dziś bardzo znaczne. Ostatnio zaś obywateli chcą wiedzieć jeszcze więcej i jeszcze prędzej.

Czy owej społecznej dążeń w dostatecznej mierze wychodzi naprzeciw działalność Centralnego Zarządu „Ruchu”? Nie wiadomo na pewno. Wiadomo natomiast, że w codziennej praktyce króluje „wypróbowany” przez wiele lat system: z drukarni — do rozdzielni; z rozdzielni — do kiosków. Naturalnie kolejno. I żadnych ekspresów... Ani ekstrawagancji, w rodzaju dostarczania na MTP warszawskich wydań prasy centralnej.

Tempo? Z tempem raczej tępo. Kwadrans, trzydzieści minut — o co chodzi; „czas to pieniądz”, to przysłowie z epoki kapitalizmu, zastosowania nie ma. Będą gazety w kiosku o siódmej, zamiast przed szóstą? To co, kupia albo nie kupia — wychodząc z roboty. Nie sprzedaje się — też głowa spokojna; „Ruch” nie ryzykant, gazety w komis bierze, co sprzeda — to jego, a o ewentualne straty niech się wydawca martwi. A klient? Klient, z którego „Ruch” żyje, to nie ten od gazet. Wiec: chro-

Dokończenie na str. 2

Dokończenie na str. 2

Encyklopedia Kolumny Zwycięstwa

Generalny konsul PRL w stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej uprawiony jest do wystawiania wniosków o wydanie przez władze NRD przepustek do Berlina Zachodniego. Gdy słyszy, że wybieram się do Tiergarten, by zwiedzić miejsca, związane z udziałem żołnierzy polskich w ostatnim akcie szturm Berlina, uśmiecha się zachęcająco. Każdy mieszkający tu Polak: dyplomata, przedstawiciel handlowy, delegowany służbowo, student, potomek emigrantów sprzed stu lat, uważa się za zobowiązanego do podtrzymywania pamięci o udziale oręża polskiego w walkach o Kanclarię Rzeszy, Reichstag, Bramę Brandenburską i Siegessaule. Każdy bowiem, pod murami historycznych budowli w Tiergarten, rozegrał się zwycięski finał kampanii, zapoczątkowanej pod Westerplatte i Kutnem, prowadzonej pod Narvikiem, Tobrukiem, Monte Cassino i Arnhem, pod Lenino, Stutziąnkami i Siekierkami, rozgrywanej się też w górach i borach Jugosławii i Słowacji, wszędzie pod białą-czerwonym sztafetem, który ostatecznie...

O czym zapomnieli encyklopedyści...

Przed podróżą do Berlina nie porzuciłem na ustnych relacjach tych, którzy tu walczyli. Pragnąłem wzbogacić je i rozszerzyć w oparciu o „źródła naukowe”, jak się potocznie zwykło mówić i sięgnąłem do dwu encyklopedii, wydanych przez Państwowe Wydawnictwa Naukowe: popularnej i wielkiej.

W pierwszej pod hasłem „Berlin” w ogóle nie wspomniano o udziale Polaków w zdobyciu tego miasta. Jeśli, ze względu na rozmiary „dziela”, redaktorzy kierowali się oszczędnością miejsca, to przyznać trzeba, że była to oszczędność szczególnego rodzaju. W arcydziele dużo obszerniejszym, opatrzonym w tytule tak zobowiązującymi zwłascz dla encyklopedii, przymiotnikami jak „wielka” i „powszechna”, Tiergarten jest swoistą księżycową pustynią, na której przybysz z Polski właściwie nie ma czego szukać. W hasłach „Berlin” i „Operacja berlińska” ani słowem nie wspomniano, że w tej śródmiejskiej dzielnicy dokonał się ostatni akt dziełowej sprawiedliwości.

Udział Polaków w operacji ujęty jest wstydliwie, częściowo w nawiasach i ograniczony do wymienienia nazwy II Armii WP i I dywizji Tadeusza Kościuszki. Ani słowem nie wspomniano, że udział ten nie był symboliczny i wyrażał się w zaangażowaniu dwustu tysięcy żołnierzy, 3 100 dział, 500 czołgów i 320 samolotów. Kolumna Zwycięstwa ważna jest tylko jako dzieło niemieckiego architekta Stracka, wymienionego z imieniem Heinricha a Brama Brandenburską jako dzieło niemieckiego architekta Langnasa.

Kierunek — Siegessaule

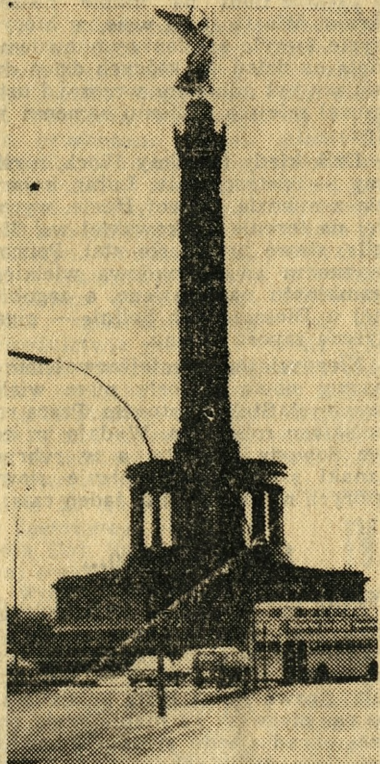
Gdy Polacy szturmowali Berlin — byłem prawie dzieckiem. Po opuszczeniu wagonu berlińskiej szybkiej kolei miejskiej mogłem porównywać krajobraz berliński roku 1968 z krajobrazem berlińskim roku 1945 tylko oczyma ppor. rez. Mikołaja Troickiego, który poświęcił wiele godzin cennego czasu, by zorientować mnie w labiryncie miasta i historii.

Ten niezwykły człowiek — jak za sobą udział w kampanii wrześniowej (jako obserwator przeciwlotniczy w Sochaczewie), udział w ruchu oporu (też w rodzinnych miejscach), pobyt w stolicy III Rzeszy w Gruenewaldzie (jako aresztowany podczas przypadkowej łapanki w Warszawie i wysłany na roboty) udział w partyzancie w Jugosławii (jako zbieg z hitlerowskiego obozu w Serbii), i wreszcie udział w operacji berlińskiej. Każdy z tych epizodów wart jest osobnej książki,

więcej je jednak ten, który rozegrał się na terenie, właśnie obserwowanym przez mnie w wiosennym słońcu.

Przedemną — słynną szosą szarlottenburską.

Patrzę na wschód, stojąc na granicy dwu zachodniobrzeńskich dzielnic, a zarazem dwu odmiennych światów. Za plecami mam ponure kamienice Charlottenburga, przed oczyma



Kolumna Zwycięstwa w Tiergarten jest architektonicznym szkaradziństwem, które miało uświetnić triumfy oręża niemieckiego. Historia chciała jednak inaczej. Na tej właśnie budowli pięciu żołnierzy 7 baterii 1 pułku artylerii lekkiej zatknęło polski sztandar 2 maja 1945 r.

CAF — Interpress

ma zaś nie księżycową pustynię encyklopedystów ale oazę zieleni.

Gdy 2 maja 1945 r. z tego samego miejsca patrzył na wschód ppor. Troicki — Tiergarten wyglądał inaczej. Kolosalny park padł pod bombami i pociskami z dział, także polskich, także z baterii, która dowodził. Trzy budowle, które ja widzę wyraźnie: Kolumnę Zwycięstwa, Reichstag i Bramę Brandenburską, temu przysłały opary, mgły i dymy. Mimo to jednak park wyglądał uroczysto. W nocy hitlerowcy zdołali zrzucić na spadochronach dla obłożonych pod Kancelarią Rzeszy ostatnie ładunki amunicji, żywności i środków opatrunkowych. Spadochrony te były czerwone i ich wielkie czasze, zawieszane na kikutach stuletnich drzew wglądali jak gigantyczna pierwszomajowa dekoracja.

„Najpiękniejszy w Europie“

Centralnym akcentem architektonicznym parku, uważanego przez Niemców za „najpiękniejszy w Europie” była i jest Kolumna Zwycięstwa.

Wzniesiono ją w 1873 roku dla upamiętnienia trzech zwycięstw — w 1864 roku nad Danią, w 1866 r. nad Austrią i w 1871 r. nad Francją. Jeśli Heinrich Strack zastępuje na wymienienie jego nazwiska w encyklopediach — to na pewno nie ze względu na to architektoniczne szkaradziństwo. Na granitowej podstawie wznosił on rotundę, wspartą 16 kolumnami, na rotundzie zaś walczyły korpus kolumny, z 285 stopniami wewnątrz i z galerią z podłoga wieńczącą budowlę bogini zwycięstwa wysokości 8,3 metra, ale za to ważącej aż 700 kwintali! Całość sięgała 61 metrów, przy renowacji dodano budowli jeszcze 6!

Gdy ppor. Troicki we wczesnych godzinach historycznego ranka ujrzał Siegessaule, bo tak brzmi nazwa

wa budowli po niemiecku, bogini zwycięstwa skryła już swą twarz. Nie w chmurach i dymach ale pod zarzuconą przez hitlerowców siecią maskowniczą. Malowidła i mozaiki, przedstawiające germańskie zwycięstwa, przesłaniała czerwienią zachowanego o balustradę spadochronu.

Siegessaule, jak wszystko w Berlinie, została przekształcona w twierdzę, okienka w korpusie kolumny zostały zamurwane, na galerię stały karabiny maszynowe i czuwalni obserwatorów. Z galerii tej prowadziło w dół około trzydzieści polowych przewodów telefonicznych. Siegessaule pełniła rolę ważnego punktu obserwacyjnego, póki nie dostrzegł jej żołnierze polscy. Artylerzyści ppor. Troickiego, po spędzeniu nocy w Charlottenburgu, rano ruszyli do natarcia przez Tiergarten bez ciałek. Choć w gęstym zwoleń drzew działa trzeba było popychać rekami i przetrząsać po kilka metrów.

Siegessaule, w ramach renowacji parku, została odnowiona i uważana jest obecnie za osobliwość, wartą obejrzenia przez turystów. W ramach owej renowacji nie zapomniano o trzech pomnikach, dyskretnie osłoniętych krzewami i przemiłczanych w przewodnikach zachodniobrzeńskich — o posągach Bismarcka Moltkego i Roona.

Tu zatknęli polski sztandar...

O losach Siegessaule podczas wojny Niemcy nie wspominają. Ppor. Troicki opowiada, że pomysł zatknąć biało-czerwony sztandar na galerię przed wstydliwie osłoniętym posągami wyników z przypomnienia sobie starej czytanki lekcji historii. Gdy kule z polskich dział, karabinów maszynowych i pistoletów przepełniły obserwatorów i strzelców — przebiegł z plutonowym Kazimierzem Ottem, kapralem Antonim Jabłońskim, kanonierami Aleksandrem Karpowiczem i Eugeniuszem Mierzejewskim przez jezdnię na placu Gwiazdy i wspinał się po owych 285 schodach na galerię. Pod czas tej wspinaczki żołnierze potykali się o wspomniane sploty przewodów telefonicznych oraz porzucone skrzynki od amunicji, saperki, menażki, łuski po wystrzelonych pociskach. Ponieważ sztandar jednostki pozostał zwiniony na ciężarówce, czekającej w oddali, pośpiesznie zrobiono go z tkaniny z czas spadochronów i wyrzuconej pościeli, a drzewce z gałęzi powalonych drzew. Wywieszeniu biało-czerwonego sztandaru towarzyszyło krótkie przemówienie dowódcy, który podkreślił, że ważny jest to historyczny moment. Zarówno w czasie wywieszenia sztandaru jak i przemówienia, dookoła Kolumny Zwycięstwa gwizdały jeszcze hitlerowskie pociski, szczególnie groźnie właśnie dla owej piątki żołnierzy 7 baterii 3 dywizjonu 1 pułku artylerii lekkiej, którzy zatknęli tu polski sztandar.

Tuż po tej uroczystej chwili nastąpiła defilada.

Gdy piątka Polaków cofnęła się z Kolumny Zwycięstwa ku swym samochodom i działom na szosie szarlottenburskiej — z tej właśnie strony ruszyła ku nim osobiście, a także symbolicznie defilada. Ostatni obrońcy rektu pod Kancelarią Rzeszy maszerowali do niewoli. Na czele kroczył, paradował krokiem z pochodem pogrzebowym, oficer z ręką na temblaku, za nim cała szerokość jezdni, szli ranni żołnierze Wehrmachtu, z owianymi głowami, z rękami na szynach, podpierający się szcudami. Za nimi ruszyli kilka tysięcy innych, oszczędzonych przez kule, ale zarośniętych, pobladłych, ze spuszczonymi głowami.

Ci z nich, którzy na chwilę zwrócili twarz ku niebu — dostrzegali przed sobą ukrytą za siecią maskowniczą twarz germańskiego symbolu zwycięstwa, a przed nim — zwycięską biało-czerwoną chorągiew...

HISTORIE PISZEMY STALĄ I BETONEM

Dokończenie ze str. 1

wa nazwa wielkiego ośrodka przemysłowego i portowego. Będą to właśnie Police...

Petrochemia...

Był Płock stolicą książąt mazowieckich, jest dziś stolicą polskiej petrochemii. Słowo, które obiega świat i robi zawrotną karierę. Płocki petrochemiczny plac budowy dorównuje sławą chyba tylko Nowej Hucie. Jest największym kombinatem przemysłowym budowanym w kraju. Wkładamy w niego kilkanaście miliardów złotych.

Pierwszy ciąg produkcyjny wielkiej rafinerii, który ruszył latem 1964 roku może przerabiać 2 miliony ton ropy rocznie. W przyszłości po uruchomieniu następnych nitek, produkcja wyniesie 6 milionów ton a w razie dalszej rozbudowy nawet 10 do 12 milionów ton. Dla gospodarstwa narodowego oznacza to własną benzynę i wiele innych paliw płynnych, zapewnia oleje smarowe, asfalt, parafinę, oleje opałowe, koks granulowany itp.

Płocki kombinat otrzymuje najnowocześniejsze rozwiązania techniczne i technologiczne. Po zakończeniu budowy zatrudni 13 tysięcy pracowników. Służbę będzie przemysłowi i rolnictwu, wszystkim niemal dziedzinom życia. Obok produktów ściśle rafinowanych dostarczy rocznie blisko 380 tys. ton różnych wyrobów chemicznych. Da syntetyczny kaučuk, polietylen dotychczas w Polsce

nie wytwarzany, zapewni syntetyczne środki piorące, surowiec do produkcji włókna terylenowego, mocznik nawozowy i paszowy dla rolnictwa. Z nadzieją na Płock patrzy więc cała Polska.

Hydrobudowa...

Z maleńkiej Soliny w głębi bieszczadzkiego uroczyska popłynął już pierwszy prąd — w marcu ruszył turbozespół o mocy 40 MW. Solina przeżywa swoje gorące dni. W lipcu tego roku nastąpi całkowite przekazanie wielkiej inwestycji do użytku.

W końcowej fazie jest już betonowanie zapory. Będzie miała wysokość 82 metrów i długość w tzw. koronie 664 metry. Zjadła w sumie 820 tys. m sześć. betonu, waży prawie dwa miliony ton, utworzy jezioro o powierzchni 22 km kwadratowych, spiętrzy wodę do wysokości 60 metrów i ujarzmi niesforne San, od lat nekający powodzią okoliczne wsie. Wszelkie niegdyś siły przyrody przechodzą w służbę człowieka...

☆

Wielkie inwestycje wielkiego przemysłu przynoszą coraz to wyższą rangę polskiej gospodarce. Niosą ze sobą wielkie nadzieje na lepsze jutro, pokazują światu nowe oblicza naszego kraju, jego wysiłki i osiągnięcia. W pierwszomajowe święto brzmią jak najpiękniejsze hasła, obchodzone w beton i stal!

WIESŁAWA ŁASKOWSKA
I JERZY SOKOŁOWSKI

Ruch w interesie albo czyj interes w „Ruchu”

Dokończenie ze str. 1

nicznie za późno w kioskach, chronicznie — kiepsko rozdzielane (tu są — tam nie ma), a przede wszystkim spychane na trzeci plan „pozaprasywa” mozaiką tanioczych: taki jest los prasy w PUPiKowych kramach.

„Ruch” zlikwidował gazeciarczy; wzmógł gdzieś komuś, że roznoszenie gazet do domu to drobnomieszczańskie wygodnictwo; zdążył do uzyskania pełnego monopolu na kolportaż, wypierając gdzie się da i jak się da prenumeratę pocztową: obwarował się szanami limitów, aż kwartałnych bądź półrocznych prenumerat; uchylił się od odpowiedzialności i ryzyka za kolportażową nieruchomość, biorąc prasę w komis; zaniedbał kształcenie kadr kolporterskich, zastępując kioskarczy prasowych przy padkowymi agentami handlowymi**).

„Ruch” doprowadził do faktycznej likwidacji kiosków prasowych w Polsce, zamieniając je w kramy, gdzie obok kolportażu gazet i sprządaży pożytecznych drobniagów — handluje się setkami przeróżnych artykułów.

Wiele przedsiębiorstw prasowych i wiele redakcji — w tym także „Głos Wielkopolski” — przeprowadza

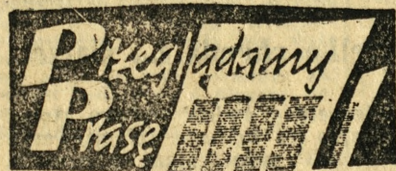
** Pozycja prawnospołeczna agentów „Ruchu” stanowi odrębny problem, oczekujący rozważania.

działo ankiety, dotyczące sprawności kolportażu. Ustalenia, zebrane tą drogą, są podobne i jednoznaczne: dotychczasowe formy tzw. rozprawiania prasy przez „Ruch” — nie stanowią kroku naprzód, w porównaniu z metodami znanymi dawniej; szybkość działania „Ruchu” rozniją się z potrzebami; znajomość rynku odbiorcy i kolportaż aktywny (a nie biernie sprzedawanie) pozostają pięta achillesowa PUPiKu; jesteśmy zdania, że niezbędne jest przerwanie kręgu utartych schematów działania, co najmniej na zasadzie eksperymentu.

Czy rzeczywiście można poprzestać na dowcipach w rodzaju: — To nie „Ruch”, to paraliż! (cytat z dyskusji na niedawnym krajowym Zjeździe Dziennikarzy Polskich).

Na pewno w „Ruchu” pracuje tysiące ofiarnych ludzi, których rzetelnej pracy i zasług nikt nie ma zamiaru nie doceniać. Ale dotychczasową politykę kolportażu PUPiKu należy gruntownie zbadać i — jeśli będzie trzeba, a chyba tak jest — dokonać zmian. Chodzi bowiem nie tylko o myślenie, ani o znaczki pocztowe, lecz o szybkie, nowoczesne formy docierania z prasą do społeczeństwa. A to jest problem nie handlowy, lecz polityczny.

PIOTR ŻYCKI



Sprawy życia politycznego i ideologii są — jak i w poprzednich tygodniach — głównym tematem publikacji w czasopiśmie. Jedną z takich jest artykuł Macieja Wierzyńskiego w „Kulturze”.

SPOŁECZEŃSTWO LUDZI DOROSŁYCH

Autor, opierając się o swoje doświadczenia dziennikarskie, pisze o niedostatku informacji, co jest jednym z boleśniejszych schorzeń życia publicznego.

„Troška i odpowiedzialność — pisze Wierzyński — z jaką omawiane są najtrudniejsze sprawy na dziesiątkach zebrań załóg robotniczych, dowodzi raz jeszcze, że mamy w Polsce do czynienia ze społeczeństwem politycznie dojrzałym, któremu wszakże zbyt często prawa do owej dojrzałości odmawiamy. Mam w pamięci wiele przykładów, w któ-

rych gospodarska i obywatelska reakcja wobec drobnych nawet, ale dokuczliwych zjawisk negatywnych kwitowana była przestroją: nie ruszajcie tego, to sprawa polityczna. Zastanawianie się racjami wyższej polityki stało się obyczajem nagminnym, tak nagminnym, że niekiedy wpadającym w śmieszność”.

Autor przytacza przykład, jak choćby to, że nawet problemy filatelistyki w pewnym momencie zostały włączone w zakres spraw „zakazanych”, kiedy to przystąpiono do produkcji sztucznych unikatów, co z kolei było pożywką dla spekulacji.

„Niedostatek informacji — stwierdza autor — o którym tak często mówimy, jest jednym z boleśniejszych schorzeń życia publicznego. Tym bardziej bolesnych, że owe wyższe względy nakazujące coraz to nowe obszary życia usuwać spod kontroli publicznej, dziś okazują się parawanem osłaniającym nieudolności, niekompetencję albo zgoła klikowy interes biurokracji. Jednym z gorzkich owoców tego jest to, że w okresie „stabilizacji” obszarami najżywszych dyskusji stały się sprawy gastronomiczne, sportu i piosenki.

Jeśli więc dziś omawia się ze społeczeństwem otwarcie i szczerze sprawy trudniejsze i większe wymagające odpowiedzialności niż własne kwestie gastronomiczne i piosenki, widzę w tym zapowiedź i szansę dla takiego stylu w naszym życiu publicznym, który uczyni z tej rozmowy ze społeczeństwem regułę. Tym samym stworzone zostaną warunki dla

uruchomienia poważnych rezerw obywatelskich zaangażowania”.

Z zakresem spraw omawianych powyżej łączę się też komentarz „Życia Gospodarczego” zatytułowany

CZYTELNICZY CZEKAJĄ NA ODPOWIEDZ

Redakcja wyraża w nim swój pogląd na temat stosunków między prasą w naszym kraju a instancjami, organizacjami i przedsiębiorstwami najrozmaitszych typów. Sprawy te dotyczą bezpośrednio nie tylko prasy i owych instytucji, ale także opinii społecznej. W naszych warunkach prasa, jako reprezentantka opinii publicznej, uznawana jest za ważny element funkcjonowania demokracji socjalistycznej. Ustawy sejmowe i dokumenty partyjne jednoznacznie określają obowiązki krytykowania wobec postulatów zgłaszanych na łamach prasy. W praktyce bywa jednak różnie. Niektórzy chcieliby, żeby prasa jedynie pomagała administracji przez wyjaśnianie trudności i popularyzację osiągnięć, a krytykę uważają za przeszkadzanie w pracy. Inni krytyczne poglądy dziennikarza chcieliby uważać za dyktando i w związku z tym nie przejmować się nimi. „Generalnie rzecz biorąc — czytamy — kryje się za tym niedocenianie siły słowa drukowanego jako wyrazu poglądu czy stanowiska określonych części

opinii publicznej. Nawet bowiem jeżeli autor publikuje swoje własne, indywidualne przemyślenia (choć nigdy — poza bardzo wąskimi wyjątkami — nie te przemyślenia nie są i nie mogą być absolutnie oderwane od poglądów szerszego środowiska, w którym autor sięgał informacji) — to fakt podania ich do powszechnej wiadomości powoduje, że docierają one do świadomości społecznej, że przestają być poglądami indywidualnymi, że kształtują opinię publiczną. Tak więc — także w wypadku gdy jest to stanowisko niesłuszne, błędne czy niepełne — pominięcie go milczeniem nie jest wyrazem stosunku do autora czy danej redakcji, lecz lekceważeniem dziesiątków a nieraz setek tysięcy czytelników gazet. Oni bowiem (...) mają prawo wiedzieć, jakie jest zdanie danego organu czy komórki odpowiedzialnej za krytykowanie czy omawianie odcinek życia, jakie stanowisko reprezentują ludzie mający w swych rękach dezyjcie, i konfrontować to zdanie i to stanowisko z własnym osądem oraz argumentami, wysuniętymi przez prasę.

Wreszcie pominięcie milczeniem licznych postulatów prasowych — to wyrażenie sobie samemu z ręki istotnego narzędzia, przy pomocy którego można konfrontować teoretyczne, planistyczne założenia z potrzebami społecznymi, z tym co sądzą na ten temat zwykli ludzie.

Za lekceważeniem opinii publicznej kryje się także zwykłe wygodnictwo,

przekonanie, że liczyć się trzeba nie tyle z opinią czytelników gazet (a więc poważnych odcinków społeczeństwa) ile z opinią bezpośrednich zwierzchników. Dlatego wielu ludzi z rozmaitych ogniw administracji o tyle uznaje rolę prasy, o ile dociera ona i wpływa na poglądy wyższych instancji”.

Oczywiście, istotne jest także jak prasa adresuje swoje uwagi i postulaty, które — zgodnie z obowiązującymi w tej mierze przepisami powinny być skierowywane do adresatów.

☆

W „Tygodniku Kulturalnym” Jerzy Słota ogłasza „Dokumenty z piekła”. Są to listy napisane przez naszych rodaków, którzy wyjechali do Izraela jako członkowie rodzin żydowskich, bądź jako polscy Żydzi. Dają one wyraz protestu i wielkiego rozczarowania tych ludzi, obnażają nietolerancję panującą w Izraelu, która może skutecznie konkurować tylko z największymi szowinizmami świata. Jest to lektura wstrząsająca i trzeba z nią zapoznać się w oryginale. W „Argumentach” Tadeusz M. Jaroszewski pisze o perspektywach nauk społecznych. W „Walce Młodych” Jan Galecki pisze o szczególnym sposobie reklamowania USA jako kraju spokojnego rozwoju przemysłu i nauki w dwutygodniku „Rozrywka”. „Fundamenty” drukują artykuł Mariana Fiejsierowicza o osiedlu Włocławku, którego budowę rozpoczęto niedawno w Poznaniu.

LEKTOR